

# O historii Dworku w Bożej Woli

Publikujemy fragment książki  
"Panowie na Zabytkach",  
Włodzimierz Kalicki, Iskry  
1991.

05-09-2018

## III

*O zabytkowym dworku niedaleko  
Warszawy odkrytym niedawno przez  
konserwatora i właścicielu tego  
dworku, który miliony woli zarobić,  
niż dostać; o starej prawdzie, że jeśli  
rodzina pomoże (zwłaszcza rodzina z*

*Ameryki); to da się zrobić wszystko; o  
świniach mieszkających w salonach  
współ z dziedzicami i sztuce życia  
tak, by nie mieć wrogów, choć —  
znając życie — brakować ich nie  
powinno.*

Przed dworkiem z Bożej Woli w województwie siedleckim zatrzymał się służbowy samochód. Wojewódzki konserwator zabytków obejrzał odkryty właśnie przez siebie dwór, pogratulował właścicielowi postępów w remoncie i poinformował go, że obiekt uznaje za zabytek i — jeśli zdąży — jeszcze w 1983 roku, wpisze go do urzędowego rejestru.

Trudno powiedzieć, czy właściciela Bożej Woli, Ryszarda Chwaluczyka, decyzja ta specjalnie ucieszyła. Sam mówi, że była mu ona po prostu obojętna. Dwór w Bożej Woli znalazł i kupił z rąk poprzednich właścicieli sam, sam też, nie oglądając się na czyjąś pomoc i doradztwo,

wyremontował go i wyposażył. Pan Chwaluczyk aż do tego stopnia pragnie być niezależny, że jako jedyny odmawia przyjęcia od konserwatora dofinansowania w wysokości 23 procent remontu. Kosztów dokładnie nie liczył, gdyż remont prowadził sposobem gospodarczym, ale konserwator zabytków szacuje, iż pan Chwaluczyk lekką ręką odsuwa od siebie parę milionów złotych. I tego, szczerze mówiąc, nie może zrozumieć.

Pan Chwaluczyk nie zaprzecza, że niezależność, także od konserwatora zabytków, warta jest dla niego wiele, jeśli zaś ktoś tak chce to nazwać, to proszę — jest warta także to ministerialne dofinansowanie (choć od razu dodaje, że nie znosi roboty papierkowej, niezbędnej przy rozliczaniu tegoż dofinansowania). Do dzisiaj ma ponad milion złotych zadłużenia, ale spłacić chce je z własnych dochodów.

Od współpracy z konserwatorem zabytków się nie uchyla, czego dowodem sprawa wycinki w przydworskim parku.

W 1981 roku, jak zwykle co dwa lata, w starym parku, przez środek którego państwowe firmy przeprowadziły kiedyś linię wysokiego napięcia, pojawiła się ekipa elektryków z Mińska Mazowieckiego. Mińscy elektrycy nie tracąc czasu zabrali się za wycinanie starych parkowych drzew, ich zdaniem rosnących zbyt blisko linii. Prośby gospodarzy o oszczędzenie starodrzewu robotnicy skwitowali dobrą radą, by posadzić świerczynowy zagajniczek.

Za pośrednictwem konserwatora wojewódzkiego pan Chwaluczyk oskarżył Mińskie Przedsiębiorstwo Energetyczne o niszczenie zabytkowego parku. Sprawcy wymierzono grzywnę w wysokości 120 tysięcy

złotych. Energetycy od wyroku odwołali się; dostali 240 tysięcy złotych kary. Dyrektor mińskiej energetyki osobiście spisał wtedy umowę uprawniającą i zobowiązującą właścicieli parku do samodzielnego prowadzenia cięć korekcyjnych.

Mimo tak budującego epizodu wojewódzki konserwator zabytków w Siedlcach, inż. Zygfryd Czapski, wkracza na teren dworu Boża Wola z leciutko mieszanymi uczuciami. (Inż. Czapski ma śmiesznie niskie przydziały służbowe benzyny i równie śmiesznie mało kwalifikowanych pracowników, więc teoretycznie może odwiedzać nadzorowane przez siebie obiekty raz na pół roku. W praktyce niektórych nie widział ponad rok, a Bożej Woli akurat dwa lata. Mgr Czapski wpatruje się więc przez chwilę w fotografię dworu, zamyka

oczy i do Bożej Woli wkracza jedynie w wyobraźni).

Pan Czapski staje więc przed bramą, którą określa jako „fantazyjną”, została bowiem wykuta według pomysłu gospodarza i przez niego pomalowana już to na czarny, już to na złoty kolor. Złote litery na odnowionym słupie bramy układają się w napis „Boża Wola” i nazwisko właścicieli. Pięknie odtworzona stolarka okienna parteru cieszy oko konserwatora swym kształtem, choć nie kolorem. Naturalna barwa drewna, ewentualnie lekko przyciemniona najlepiej pasowałaby do stylu elewacji, wzdycha pan Czapski, ale cóż, z zewnątrz jest biała, od środka zaś surowe drewno. Drugie konserwatorskie westchnienie adresowane jest do lukarn, które *Deus ex machina* pojawiły się w czasie remontu na jednolitej do tej pory płaszczyźnie głównej dachu. Trzecie westchnienie

wyrywa się fachowcowi na widok  
wzniesionej z boku sporej  
dobudówki, pełniącej rolę  
przedsionka wejścia gospodarczego.  
Westchnienie czwarte tyczy się  
dobudowanego z tyłu tarasu,  
prowadzącego z jadalni do parku.  
Westchnień byłoby więcej, ale  
ostatnia wizyta pana Czapskiego  
miała przecież miejsce dwa lata  
temu, remont zaś trwa.

Nie są to zresztą westchnienia zbyt  
głębokie. Dwór, przyznaje to  
konserwator, nie jest znowuż  
bezcenny. Zbudowano go w drugiej  
połowie XIX wieku i szczególnej  
harmonii czy wykwinności detalu  
próżno by w nim szukać. Po wtóre,  
pan Chwaluczyk nie wprowadzał  
zmian tylko z iście pańskiej fantazji,  
ale z powodów jak najbardziej  
praktycznych.

Lukarny na dachu pojawiły się, gdyż  
na strychu gospodarz urządził

sypialnie i pokoje gościnne. Parter bowiem, czy się tego chce czy nie, bardziej nadaje się do reprezentacji niż do codziennego życia.

Dobudówka z boku chroni wchodzących przed deszczem i jest namiastką garderoby. Choć samym swym istnieniem psuje proporcje bryły dworu, to jednak gospodarz nadał jej linię nieźle zharmonizowaną z miękkimi liniami gzymsów frontonu. Dodatkowy taras zaś w wygodny sposób łączy jadalnię z parkiem, zwłaszcza że zawieszone w powietrzu okna *porte-fenêtre* do podobnego przedsięwzięcia nowego właściciela wprost zachęcały.

Ostatni powód, dla którego westchnienia konserwatora są bardzo ciche, jest bodaj decydujący. Pan Chwaluczyk dwór ten w ostatniej chwili własnym sumptem uratował od zniszczenia i zdążył go wyremontować, wprowadzając przy okazji umyślane przez siebie



innowacje, zanim pojawili się  
siedleccy konserwatorzy zabytków.

\*

Eklektyczny dwór cieszy swego  
właściciela tym bardziej właśnie, że  
do jego stylowego rozwichrzenia sam  
się przyczynił. Mniej martwi go, że  
coś się we dworze zmieniło lub  
pojawilo nowego, raczej cieszy go  
własne autorstwo tych innowacji.

Marzeniem życiowym pana  
Chwaluczyka było posiadanie włas  
nego, pięknego i dużego domu.

Własnego, gdyż przez trzynaście lat  
wieku męskiego tułał się po hotelach,  
zajazdach i chłopskich zagrodach.  
Życie w delegacji było koniecznością  
dla cenionego technika budowlanego  
w Warszawskim Przedsiębiorstwie  
Budowy Pieców Przemysłowych. Był  
pracownikiem i kierownikiem  
budowy, stawiał olbrzymie piece w  
cementowniach i specjalistyczne

piece tunelowe, budował piece hoffmanowskie w cegielniach i po prostu stawiał co wyższe kominy od Stalowej Woli do Gdańska, bo na tym terenie jego firma była monopolistą. Budowlane tułactwo w brudzie, błocie i niewygodach skończyło się dotkliwymi wrzodami żołądka i dwunastnicy oraz chęcią rzucenia pracy i zbudowania swojego domu.

Pięknego domu, gdyż w ciągu tych trzynastu lat technik od pieców stał się miłośnikiem piękna, pięknych przedmiotów zaś w szczególności. Jednym z jego pierwszych przyjaciół w Warszawie, zaraz po przyjeździe z rodzinnej Białej Podlaskiej, stał się stary zbieracz staroci i antyków. Od niego uczył się pan Chwałuczyk tajników kolekcjonerstwa. Kupował książki o starych srebrach, porcelanie, meblach. Nie miał ambicji zbierania za wszelką cenę bezcennych okazów, tworzenia zwartej, logicznej kolekcji. Wiedział,

że kolekcjonerem wielkiego formatu nie zostanie — nie było go na to stać. Z konieczności uczynił cnotę i pasjonować zaczął się przede wszystkim zdobywaniem za bezcen przedmiotów zapomnianych, uszkodzonych, skazanych na zniszczenie. Pokazując dziś swą kolekcję, szczyci się tymi zwłaszcza drobiazgami, które uratował z największych opresji: meblami używanymi jako kurniki, obrazami leżącymi na podłogach zaciekających strychów, fragmentami rzeźb z zawalonych kościołów.

Wielkość domu, w którym pan Chwałuczyk postanowił osiąść na stałe, wynikała z wielkości jego zbiorów. Wreszcie chciał mieć obok siebie zrujnowane stylowe meble stojące w stodołach rodziny i znajomych, rzeźby i obrazy z konieczności zdobiące mieszkania przyjaciół. Najpierw zamarzył sobie wielkie mieszkanie w Warszawie.

Okazało się jednak za drogie. Od Warszawy odstręczał go także brak sensownej pracy. Po rzuceniu budowania pieców zatrudnił się w ADM-ie. Na krótko.

— Wariowałem tam. Bezmyślne siedzenie na stołku dobijało mnie. Ja jestem frontowiec, z pierwszej linii. W polskim bałaganie każda budowa to walka, wszystko trzeba wyszarpywać, zdobyć sposobem, podstępem, brakujące części zamienić ersatzem, wykiwać biurokratów i idiotyczne przepisy, żeby obiekt stanął w terminie i działał dobrze. A jak trzeba pieścić się z pracownikami! To było życie dla prawdziwych mężczyzn.

Postanowił jeszcze raz spróbować szaleństwa budowania, tym razem dla siebie. Państwo Chwaluczykowie ruszyli na poszukiwanie ładnej działki. W trakcie tych objazdów wpadli na pomysł, by kupić stary,

zabytkowy park z kompletnie zniszczonym dworem. Na fundamentach chcieli budować swój dom.

— Chałupa byłaby taka, jak sobie wymyślę, a otoczenie dookoła przepiękne — mówi pan Chwaluczyk. — No i w ten sposób działka miałaby ładnych parę hektarów.

W końcu dowiedzieli się o pierwszym katalogu zabytków do zagospodarowania, opracowanym przez Ministerstwo Kultury. Jeździli po sąsiednich województwach trzy lata. W Łódzkiem podobał się im dwór w Chojnowie, ale zrezygnowali. Dwór w Petrykozach oglądali tuż przed Wojciechem Siemionem, który w końcu tam osiadł. Jeszcze dziś wspominają urodę modrzewiowego dworku w Czernej, z którego w końcu także zrezygnowali. Za dwór w Pogorzeli, gdzie zdecydowali się

zostać, w ostatniej chwili więcej zapłaciła firma państwowa. Ostatecznie zdecydowali się kupić dwór w Proszowie w Siedleckiem. Nęciła ich zwłaszcza pobliska rzeczka, rybne stawy. Tam z kolei rozmyślił się właściciel.

Bez żadnych katalogów i map, rozpytując się po wioskach, dotarli wreszcie do zapomnianej przez wszystkich Bożej Woli. Brat przedwojennego właściciela i jego siostrzenica obwarowali się w skrzydłach domu. Ziemią niczyją był wielki przedpokój; drzwi pozabijane deskami, rozsnute druty kolczaste uniemożliwiające poruszanie się. Skłóceni krewni sprzedali Bożą Wolę 18 grudnia 1974 roku, dosłownie w ostatniej chwili. Załamany, ogołocony z dachówek dach, zawilgocone stropy nie pozostawiały wątpliwości, że dwór zawali się najpóźniej w czasie wiosennych odwilży.

Przez ostatnie dwa lata poszukiwań starego dworu do remontu państwo Chwaluczykowie jeździli już razem z bratem, profesorem antropologii na Uniwersytecie Laval'a w Kanadzie. Po 1970 roku brat zapragnął starość spędzić w ojczyźnie, najlepiej w zacisznym dworku. Obaj postanowili wspólnie wyremontować Bożą Wolę. Dzięki rodzinnemu zastrzykowi dewiz pan Chwaluczyk był w stanie przystąpić do ratowania trzystumetrowego dworu, choć jeszcze niedawno nie stać go było na trzy razy mniejsze mieszkanie w Warszawie.

Sam postanowił utrzymać się z rolnictwa. Dwór musiał kupić razem z parkiem i 13 hektarami ziemi ornej, nie miał więc wyboru. Uprawnienia rolnicze zdobył praktykując trzy miesiące na resztówce, u prawdziwej przedwojennej dziedziczki, co wspomina z dumą. Kupował książki

rolnicze i czytał je wieczorami, gdy zmrok przerywał prace przy dworze. Dziś, prowadząc trzynaste gospodarstwo specjalistyczne w gminie, śmieje się, wspominając początki.

— Były to czasy przymusowego wykupu nawozów przez rolników. Przyjechał sołtys z pretensjami: panie, co pan wyrabia, pan nie wykupił enpeka! Na to ja: już lecę, panie sołtysie, i do ksiązek, zobaczyć, co to jest ten enpeka. Tak zagadywałem, żeby się sołtys nie połapał, że nic nie rozumiem. I udało się.

Dziś w zabudowaniach gospodarczych, zbudowanych na gruzach starych obór i wozowni, stoją kombajn, ciągnik fergussona, rozrzutnik obornika, przyczepa, kopaczka — wszystko, z wyjątkiem przydziałowego fergussona, kupione kiedyś na wagę, jako złom, i



wyremontowane. Przy remoncie prawie każdej z tych maszyn pomagał ktoś z rodziny albo licznych przyjaciół. Kombajn „Vistula” wypatrzyli na przykład zaprzyjaźnieni lotnicy z Gocławka, opryskujący pola na Białostocczyźnie. Pewnego dnia pan Chwaluczyk dostał od nich telegram: „»Vistula<< do wzięcia na złom. Przyjeżdżaj”.

— Na dziesięciolecie remontu Bożej Woli przyjdzie do nas ponad pięćdziesiąt osób, które tu naprawdę ciężko pracowały — mówi gospodarz.

Tych pięćdziesięciu wolontariuszy zrobiło tu bardzo wiele.

Zaprzyjaźniony elektryk wymienił instalację elektryczną.

Cała rodzina, z rodzicami włącznie, zdejmowała stare dachówki i czyściła je.

Przyjaciół Rafiner z żoną i dziećmi pomagał w pracach dekarских. Wujek wykonał trudniejsze roboty stolarskie, zwłaszcza stolarkę półkolistą.

Siostrzeniec Marek przyjechał po wojsku pomagać, popracował parę miesięcy, ożenił się, wziął z Państwowego Funduszu ziemię i mieszka opodal. Pomaga do dzisiaj, prawie codziennie pracuje w Bożej Woli.

Dwaj bracia Marka także przyjechali pomóc i w końcu tu się ożenili, osiedli w pobliżu i właściwie robią tu coś do dziś. Jeszcze inny krewny, biegły w kowalstwie, robił odkuwki.

Dla gospodarza starczyło pracy. Był zaopatrzeniowcem, murarzem, tynkarzem, malarzem, hydraulikiem, cieślą, dekarzem, posadzkarzem, ekonomistą i konstruktorem.

Dumny jest zwłaszcza z ostatnich dwóch ról.

Najtrudniejszym zadaniem technicznym było powstrzymanie rozsuwania się kolumn frontonu, grożącego zawaleniem się całego dworu. Brat z Kanady, co jakiś czas przyjeżdżający i lustrujący postępy remontu, naciskał, by problem rozwiązać po amerykańsku: wziąć dobrego eksperta z referencjami, może nawet dwóch, niezależnych, niech naukowo rozpracują problem, potem sprowadzić specjalistyczną firmę i niech ratują kolumnadę!

Panu Chwaluczykowi wystarczyła jedna ekspertyza: podniesienie dźwigiem całej konstrukcji i wstawienie wzmacniającego rusztu miało kosztować ponad 2 miliony złotych. Ryszard Chwaluczyk, w końcu technik budowlany, pomyślał i wzmocnił kolumny sposobem gos-

podarczym, za jedną dwudziestą tamtej sumy.

Pracy przez te dziesięć prawie lat było tyle, że gospodarze nie mieli głowy do zajmowania się historią dworu. Podobno jakiś proboszcz w pobliskiej Siennicy spisywał historię gminy, ale doń nie dotarli.

— Tak bardzo na odtwarzaniu przeszłości mi nie zależy — mówi pan Chwałuczyk.

Absorbuje go zupełnie wykańczanie i urządzenie wnętrza. Na piętrze wykłada właśnie modrzewiem bibliotekę. Na parterze w zasadzie skończył urządzenie jadalni i salonu. Przy skrobaniu tynków odkrył, że salon przedzielony jest czterema kolumnami, podobnie jak jadalnia. Kolumny były sześciokątne, ale panu Chwałuczykowi nie spodobały się. Otynkował je, przerobił na okrągłe. Głowice pomalował na złoto, uznając to rozwiązanie za bardziej

eleganckie od oryginału. Sam zaprojektował i wybudował kominek w jadalni. Wśród stojących zegarów, kredensów, starych stołów, pejzaży i portretów na ścianach, licznych dzieł sztuki sakralnej, drewnianej madonny, uszkodzonych figurek amorków, pięknych ikon apostołów, nad drzwiami wiodącymi do jadalni wisi uskrzydłona główka amorka.

— Wyrzeźbiłem sam w lipie, pasowała mi tu — mówi gospodarz.

Państwo Chwaluczykowie zostali zaproszeni na pierwsze ogólnopolskie spotkanie właścicieli obiektów zabytkowych, które odbyło się w 1984 roku na Zamku Królewskim. Pani Chwaluczyk wróciła z mieszanymi uczuciami:

— Nie mogę zrozumieć, dlaczego jacyś państwo z dworku spod Krakowa skarżyli się, że wieś traktuje ich jak obcą narośl. Co oni tam muszą wyrabiać?

Wieś Boża Wola traktuje państwa Chwaluczyków jak swoich.

Na pewno zaś znacznie lepiej niż poprzednich właścicieli. Tamtych dwoje, w rozpadającym się dworze, rozdzielonych strefą drutu kolczastego, wyprzedających przepiękne wyposażenie wnętrza, aby tylko jeszcze przeżyć, miało w sobie do końca jakąś nieuchwytną wyniosłość, pańskość. Nawet gdy tuż przed pojawieniem się po raz pierwszy pana Chwaluczyka zabierali się do rozbiórki dworu na cegłę, robili to bez tej pokory, którą wieś chciałaby widzieć u przegranych.

Wieś wiedziała, że w dawnym salonie trzymali węgiel i chowali świnię. Wieś wie, że dzisiejsi właściciele tenże salon, odnowiony, umeblowali antykami i wieś dziś zdaje sobie sprawę z ich wartości. A

jednak nowi właściciele są bardziej swoi niż dawni.

Państwo Chwaluczykowie pojawili się w Bożej Woli bez żadnego planu ułożenia sobie stosunków z sąsiadami. Po prostu postanowili zachowywać się normalnie, naturalnie. I chłopci obdarzyli ich swą sympatią już drugiego dnia.

Po pierwszej styczniowej nocy przespanej na podłodze z nogą od stołu pod głową okazało się, że nikt nie pomyślał o zabraniu prowiantu. Poszukiwanie czegoś do zjedzenia przerwało pukanie sąsiadek, przynoszących masło, jaja i chleb. Gdy okazało się, że brakuje patelni, sprezentowała ją pani Szostakowa.

Potem ciotka Pajdzina przyniosła dwa koguty, ktoś inny dwa kaczory.

Także mężczyźni ze wsi pierwsi wyciągnęli dłoń. Było to pierwszego lata. Wszystkie prace polowe pan

Chwaluczyk zlecał wówczas kółku rolniczemu, gdyż sam nie miał maszyn i niczego nie umiał. Kółkowa ekipa skosiła trawę, zadowoleni gospodarze wyjechali do Warszawy. Dojeżdżali już, gdy lunął ulewny deszcz. Zawrócili, by zebrać siano, nim zamoknie, ale nie zdążyli. Siano stało już w kopkach. Pod jedną z nich siedziało czterech sąsiadów. Wesoło dopytywali się, czy nie należałoby postawić pół litra.

Ta wódka wypita w siąpiącym deszczu pod kopką siana była pierwszą wódką wypitą z sąsiadami, ale nie ostatnią.

— Wtedy poczuliśmy, że jesteśmy między swoimi — mówi pan Chwaluczyk.

Nie mało sympatii przysporzyła w oczach chłopów pracowitość i zaradność nowych właścicieli dworu, ale w końcu trudno było tym zaimponować sąsiadom. Chłop, żeby



przeżyć, musi być niewiarygodnie pracowity i także zaradny. O nastrojach decydowały drobiazgi.

Poprzedni właściciele, choć po ogrodzeniu nie zostało ani śladu, awanturowali się o każdą porzeczkę i orzech zerwany w pobliżu dworu. Pan Chwaluczyk pierwszy obszedł obejścia i zapraszał potrzebujących do rwania.

Decydującą próbą charakteru okazało się nawiedzenie wsi przez obraz święty. Zwyczajkaże przenosić go w asyście wszystkich mieszkańców do kolejnej chałupy. A odwiedzi wszystkie. Od obowiązku goszczenia obrazu nie uchylił się nawet znany we wsi aktywny bezbożnik, nie uchylił się także i pan Chwaluczyk, choć w kościele widywano go rzadko. Bezbożnik, swój chłop, schował jednak co cenniejsze drobiazgi i zwinął dywany. W domu tłum, wszystko

może się zdarzyć. Pan Chwaluczyk mówi dziś, że nie miał wyboru.

Gospodarze bywali u mnie w salonie, świetnie wiedzieli, co gdzie stoi. Gdybym coś ruszył, potraktowałbym wieś jak złodziei.

Po wizycie obrazu w salonie zostało błoto na dywanach i nie poruszony najmniejszy drobiazg, a we wsi dobra opinia, zwłaszcza że znalazł się taki, który dywany zwijał i chował.

Dwór jakby znowu wrósł w wieś, stał się czymś naturalnym i potrzebnym (...). W Bożej Woli kiełkuje dziś namiastka dawnego obyczaju żniwnego.

Kilka lat temu pan Chwaluczyk postanowił zostać hodowcą owiec. Potrzebne do karmieniakartofle posadził, ale już zebrać nie miał czasu. Wynajął kobiety ze wsi. Wieczorem, po wypłacie, w wielkiej

kuchni gospodarze zasiedli wspólnie z za długim stołem, zastawionym skrzynką wódki.

— Śpiewania i zabawy było do rana.

Nad ranem uczestników tych kartoflanych żniw rozwiązał siostrzeniec w przyczepie wymoszczonej snopkami siana.

Tak samo skończyło się kopanie w roku następnym.

Za trzecim razem do kopania kartofli przyszli z żonami mężowie. Zabawy po zbiorze kartofli z porannym rozwożeniem weszły w zwyczaj.

Ostatnie zbiory kartofli właściwie nie odbyły się, gdyż wszystko wygniło w polu. Bal pookopowy jednak się odbył i był bardzo udany. Do pana Chwałuczyka przyszli delegaci ze wsi i uprosili go.

— Właściwie to mnie zmusili. Bal musiał być i już; zapowiedzieli, że w

przyszłym roku też będzie — mówi gospodarz Bożej Woli.

Państwo Chwaluczykowie opowieści o trudnościach innych właścicieli zabytkowych dworów z przejmowaniem ich i remontowaniem słuchają jak bajki o żelaznym wilku.

Ówczesny naczelnik gminy, dowiedziawszy się o planach zakupu i remontu dworu, zacierał tylko ręce i powtarzał:

— Pomagać im, żeby tylko wariaci nam się nie rozmyślili!

Do dziś jest przyjacielem domu.

Kierownik kółka rolniczego nigdy nie odmówił usługi, sam jeszcze pilnował, czy prace w polu są dobrze wykonane.

Nawet organizacja partyjna we wsi była po ich stronie, wspomina pan

Chwaluczyk. Jednoosobowe doły burzyły się na niesprawiedliwość społeczną, na co partyjna góra w osobie sołtysa nieodmiennie powtarzała:

— Nie pij, nie marnuj czasu, zbieraj części i składaj jak oni, będziesz miał tyle samo sprzętu.

Po dziesięciu latach remontowania właściciele sami przyznają, że są u kresu sił. Mówią, że drugi raz już by się za to nie zabrali, ale zaraz dodają, że nie kupiliby już innego dworu, tylko Bożą Wolę.

Nie żałują niczego, nawet żona swej urzędniczej posady w Warszawie.

— Ten dwór to nasz sens życia — mówią.

Trzy lata temu podwieźli samochodem do pobliskiej Siennicy staruszkę babuleńkę. Podziękowała i obiecała:

— Pomodłę się, za was, żebyście byli szczęśliwi, bo ten dom nie dał jeszcze nikomu szczęścia.

I są szczęśliwi.

*1985 r.*

---

**Ryszard Chwaluczyk** zmarł w 1987 r. i został pochowany na cmentarzu w Białej Podlaskiej. Po jego śmierci **Danuta Tańska-Chwaluczyk** przeprowadziła się do Warszawy. Zmarła w 2015 r.

Dworkiem opiekował się jego brat ks. **Mieczysław Janusz Chwaluczyk** oraz dalsza rodzina mieszkająca w okolicach Bożej Woli. Zamieszkała tam Kazimera, matka braci Chwaluczyk. Pod koniec roku 1991 r. wszyscy zdecydowali sprzedać Dworek, aby mogły tam być

prowadzone zajęcia formacyjne  
przez Prałaturę Opus Dei.

Po przekazaniu Dworku w lecie 1992  
r. ks. prof. Mieczysław Janusz  
Chwaluczyk zamieszkał z matką w  
Białej Podlaskiej. Zmarł 10 czerwca  
2004 r. Bp Antoni Dydycz odprawił w  
kościele św. Anny w Białej Podlaskiej  
uroczystość pogrzebową.

**Kazimiera Chwaluczyk** 6 marca  
2011 r. obchodziła swoje 100.  
urodziny. Opowiadała wtedy w  
telewizji i prasie lokalnej o Dworku i  
o przeznaczeniu tego budynku.  
Zmarła rok później. Mszę św.  
pogrzebową również odprawił bp  
Antonii Dydycz.